



Nr. 18. *Z dnia 25 października 1903 r.*

PARLAMENT ZAKOPIAŃSKI.

Dawno już minął czas kiedy po ziemi zakopiańskiej chodził chłop-zbójnik; rycerz-rabuś. Synów zbójnickich nawrócił ks. Stolarczyk na katolicyzm, a w trzeciem pokoleniu z romantycznej tradycji pozostały tylko słowa legend i baśni. Czasem w młodym parobczaku odezwie się dawna krew, ale jest to raczej buta młodości i wnet z wiekiem, a zwłaszcza po ożenku układa się wszystko do normy, do pospolitej normy chłopa z biednego Podhala. Zaczyna się ubogie gazdowanie na kilku morgach roli. Dawna fantazja, dzielność w nowych warunkach przemieniła się w bajeczny spryt, który byłemu juhasowi dopomaga wyżyć jako tako, a czasem prowadzi go do dobrobytu, do względnego majątku. W trzeciem pokoleniu, wśród ludzi dawniej prawie równych bytem materyalnym wytworzyły się znaczne różnice społeczne, ale nie zatarły się wspólne cechy charakteru, oparte na tych samych warunkach bytu i pierwiastkach rasowych.

Wspólność ta uderza niezwykle, gdy się zobaczy razem zebranych górali w surdutach, w kurtach, w guniach, i górali w podartych „portkach" radzących nad dobrem gminy Zakopane — tego dziwnego potworka, który stoi na rozdrożu między zapadłą parafją góralską, a wysoką cywilizacją jednej z wielu „stolic Polski". Dusze wszystkich tam zebranych górali poruszają się w jeden takt, a zdanie gazdy w guni trafia najzupełniej do przekonania gazdy w surducie. Tworzy się prawdziwie „zwarta większość", której nie przemoże żaden argument, żaden dowód, jeśli nie poruszy tych strun, na które dusza górala jest czułą. Chodzi naprzykład o podniesienie pensji weterynarzowi, którego dotychczasowa płaca nie wynagradza dostatecznie za ciężką robotę. Wójt gminy dr. Chramiec tłumaczy, że w razie nie podwyższenia pensji weterynarz ustąpi, a układ z drugim będzie trudniejszy i droższy. Nic nie pomaga. Każdy z mówców-górali sprzeciwia się temu na swój sposób, a ogólną opozycję reasumuje p. Jakób Curuś, chłop srodze jowialny, który woła: „Panie! mówicie, że weterynarz biedny, a co to gminę obchodzi, a gdy ja biedny, to mi gmina kupi nowe portki? A co?" I sprawa byłaby na zawsze ubitą tym argumentem, gdyby dr. Chramiec nie poruszył serc góralskich przedstawieniem, że gdyby syn którego z nich namęczył się w szkołach długimi latami nauki, to przecie chciałby potem za mękę swoją i pracę uczciwego zarobku i chleba. Górale kiwają głowami, zgadzają się. To jeden z wielu, bardzo wielu przykładów. Przy każdym wniosku, który proponuje jakiś wydatek, i n w e s t y c j ę, podnosi się tasama opozycja, czasami nieubłagana, nie dająca się wziąć na żaden „kawał". Przy każdym takim wydatku cały szereg głosów tłomaczy, że „to jest sprawa klimatyki" — że gminę to nic nie obchodzi.

Wobec tych stosunków, aniby marzyć można o zaprowadzeniu jakichś na daleką metę obliczonych udogodnień. O tym wrodzonym wstręcie górali do wszelkich „inwestycji" doskonale wiedzą ci wszyscy, co zarzucają

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 25 Października 1903 r.

dr. Chramcowi „niechęć“ do miljonowych wkładów, do „śmiałej inicjatywy“. Na złą wolę nie ma lekarstwa.

Cóżby to był za rozkoszny widok, gdyby wiecujące panienki stanęły przed forum „parlamentu zakopiańskiego“ i natchnięte górnym duchem zaproponowały miljonową inwestycję — chociażby na tę nieszczęsną kanalizację. Zdaje się, że najśmielsza, najcudowniejsza warszawianka stchórzyłaby przed argumentami p. Jakóba Curusia! Parlament zakopiański zmieni swój wygląd, gdy Sejm uchwali nową ustawę dla Zakopanego, przedłożoną przez dra Rutowskiego. Nowa ordynacja wyborcza przyczyni się do zmiany składu dotychczasowej Rady, zasili ją doborem inteligencji miejscowej, która roztropniej potrafi dbać o dobro uzdrowiska niż dzisiejsi „ojcowie miasta“. Przez zniesienie klimatyki zniknie śmieszny dualizm władz na dolinie kilkunastomorgowej, zniknie to ciągłe oglądanie się gminy na klimatykę i nawzajem, zniknie spychanie ciężaru z jednych bark na drugie.

Projekt dr. Rutowskiego przyjęła cała prasa bardzo życzliwie. Niektóre dzienniki jak „Nowa Reforma“ i „Gazeta Narodowa“, poświęciły sprawie tej poważne artykuły, w których dowodząc doniosłości reform, naglą Sejm do uchwalenia przedłożonego projektu nowej ustawy jeszcze w bieżącej kadencji sejmowej.

Ustawa spoczywa obecnie w komisji gminnej. Gdy wszyscy są równie przekonani o konieczności zmiany, zależy tylko od dobrej woli i energji członków komisji, aby projekt z rąk referentów przedostał się na porządek dzienny obrad sejmowych i stał się obowiązującą ustawą. Pocóż odkładać sprawę do przyszłej kadencji, i tracić rok czasu, który w rozwoju Zakopanego może mieć bardzo doniosłą wartość.

BRATNIA POMOC.

Za kilka już dni rozesłane będzie prasie, stowarzyszeniom i wybitniejszym jednostkom

„3-cie sprawozdanie roczne Tow. uczącej się młodzieży polskiej „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem“.

Broszura utonie w koszach redakcyjnych, wśród setek podobnie nadsyłanych sprawozdań, albo też znajdzie echo w jednym i drugim dzienniku, iż „Pomoc bratnia rozwija się prawidłowo i zasługuje na poparcie“. Nad tą „sympatyczną wzmianką“ publiczność szersza przejdzie do porządku i nie zastanowi się nawet co to jest ta Pomoc bratnia, czy warto na przysporzenie jej funduszów chociażby grosz ofiarować. A każdy rok wytrwania pod sztandarem Pomocy bratniej, to rok syzyfowych trudów garstki ludzi dobrej woli, rok ciężkich wysiłków tych, którzy uwierzyli, iż społeczeństwo nie da zaginąć instytucji mającej na celu nieść pomoc i zdrowie niezamożnym młodzieńcom polskim, chorym na gruźlicę. Zabrać z poddasza chorego młodzieńca, przewieźć go na jakiś czas do Zakopanego, w możliwie najlepsze warunki, dać mu możność leczenia się i wyleczenia — to zaiste wzniosłe zadanie!

Zdawałoby się, że w obecnej chwili kiedy świat cały zbroi się do walki z gruźlicą, kiedy wszyscy uznali, że jest to najniebezpieczniejsza z chorób trapiących ludzkość, a przy rychłej i dobrej opiece wyleczalna — zdawałoby się, że społeczeństwo stworzone już dzieło taniego sanatorjum dla biednej młodzieży, otoczy opieką i pomocą finansową. Nie, my raczej pozwolimy stargać się młodym siłom, które wzięły na barki olbrzymie przedsięwzięcie, pozwolimy upaść śmiałej inicjatywie, a następnie dopiero ockniemy się i żałować będziemy.

Było to w marcu 1900 r. Młodzież uniwersytecka bawiąca podówczas w Zakopanem, widząc jak straszne spustoszenia w jej szeregach wyrządza gruźlica, powzięła zamiar stworzenia istytucji, któraby udzielała pomocy niezamożnym studentom potrzebującym kuracji w Z kopanem. Utworzono komitet, zebrano trochę funduszów, wysłano statut do zatwierdzenia do Namiestnictwa.

Gdy w początkach czerwca tegoż roku przyszło od władz zatwierdzenie statutu, komitet miał już zebranych kilkaset koron i Towarzystwo ukonstytuowało się legalnie pod przewodnictwem ś. p. Dymitra Kirkora. W pierwszych miesiącach świeciła szczęśliwa gwiazda młodemu towarzystwu. Uzyskano zezwolenie na zbieranie składek, ponieważ ofiarność prywatna była dość znaczna, „Pomoc Bratnia“ liczyła wkrótce 9 członków założycieli z wkładką jednorazową 200 koron, 45 członków wspierających z wkładką coroczną 20 koron i 70 członków zwyczajnych. Życzliwe Panie urządzały na dochód Tow. zabawy i zebrania, które przyniosły prawie 2 tysiące koron, panie Brzozowska (członek honorowy Tow.(i Starorypińska ofiarowały jednorazowo znaczniejsze sumy. Dochód Tow. wzrósł w pierwszym roku do 7 tysięcy koron. Śmierć zabrała wkrótce najdzielniejszych opiekunów Pomocy, pp. Dymitra Kirkora i Dr. Maryana Hawranka. a młodzież oddała kierownictwo instytucyi w ręce lekarza Dr. Józefa Żychonia.

Nie można było zrobić trafniejszego wyboru. Gdy pierwsze zapały minęły, gdy rozpoczęła się żmudna codzienna praca, walka z niedoborem, z ospałością społeczeństwa, on jeden dodawał garstce młodych otuchy, bronił ich od zniechęce-

nia, a równocześnie rozwijał konsekwentnie myśl założycieli Tow.

Początkowo Pomoc ograniczała się do wyrabiania ulg i zniżek dla chorej młodzieży, do umożliwienia jej leczenia się w Zakopanem, przez uzyskanie tańszych warunków pobytu.

Za inicjatywą dra Żychonia powziął zarząd Towarzystwa śmiałą myśl budowy własnego sanatorjum, a zanim projekt ten się urzeczywistni, wynająć dom i w nim na własny rachunek prowadzić pensjonat.

W jesieni w r. 1901, na skromnej chacie góralskiej położonej przy Chramcówkach zawieszono tablicę Towarzystwa i rozpoczęła się ciężka, bardzo ciężka walka o byt. Zarząd rozpoczął prowadzić własny Dom Zdrowia mając kapitału... 900 koron, a ponadto żadnego praktycznego doświadczenia. Pesymistyczne przepowiednie, iż Towarzystwo oparte o tak śmiesznie małe środki finansowe musi upaść, budziły jednak upartą energję młodego wieku.

No i Pomoc nie upadła, z trudności wyszła zwycięsko, a po kilku miesiącach do pierwszego domku donająć musiała trzy nowe, aby dać możność ratunku licznie zewsząd zgłaszającej się o zdrowie młodzieży. Z wiosną r. 1902 prowadzone były cztery domy, dające pomieszczenie 18 chorym. W ciągu roku powiększyła się wprawdzie liczba członków Towarz. (przybyło 10 czł. założycieli, 30 czł. wspierających, 17 członków zwyczajnych), nie zawiodły finansowo zabawy urządzane na cel Pomocy (dały zysk 2 tysiące koron), wydawnictwo „Zakopianki“ przyniosło 500 koron, ale zamykając rachunki w lecie 1902 r. Tow. musiało zaciągnąć dług w kwocie blisko 900 koron.

Instytucja młodych dla młodych nie może być filantropijną, musi opierać się o zasady koleżeństwa. Wszyscy muszą być traktowani jednakowo i na jednakowych przyjmowani warunkach. Kierując się tą słuszną zasadą Zarząd ustanowił, że każdy kolega — kuracjusz powinien zwrócić część kosztu swego utrzymania i leczenia, czy to gotówką, czy też rewersem płatnym w przyszłości. Przy obliczaniu przyjęto na normę, że każdy chory musi opłacać kwotę 100 koron miesięcznie, za utrzymanie i leczenie. Zamożniejsi opłacają tę sumę, mniej zamożni korzystają z prawa wystawiania rewersów. Stąd stan czynny Pomocy, w kwitach i rewersach posiada znaczny kapitał, płatny kiedyś w przyszłości, ale na razie walczy z brakiem koniecznej gotówki. Przetworzenie chaty góralskiej w taki „Dom zdrowia“ wymaga kosztów, przeprowadzenie sanatorjalnej czystości i desynfekcji pochłania wielkie sumy. Zarząd ratując się wszelkim możliwym „przemysłem“ wyczerpawszy wszelkie możliwe źródła dochodu, zwracał się o pomoc do kraju, do sejmu, a jednak petycja Pomocy o stałą subwencję, nie była nawet rozpatrywaną przez odpowiednią komisję sejmową!

(C. d. n.)

ZAKŁAD KUŹNICKI.

(WRAŻENIA).

Pensjonaryuszki Zakładu Kuźnickiego podzielone są, jak wiadomo na trzy oddziały. Pierwszy, obejmuje panienki przeważnie z domów bogatszych, do drugiego należą panienki ze sfery szlachecko-mieszczańskiej; oddział trzeci, to dziewczęta z klasy robotniczej. Podział ten jest oparty na zasadzie postawionej przez jenerałową Zamoyską „nie wynoszenia się ponad stan“. Trzy te oddziały, prócz godzin pracy wspólnej, przy której przestrzegane jest milczenie, nie stykają się z sobą zupełnie. Przy całem uszanowaniu dla wielkich zasług i cnót pani Zamoyskiej, to ścisłe rozgraniczenie „sfer społecznych“ jest niepedagogiczne i zupełnie niezgodne z duchem czasu. W zakładzie przebywają dziewczęta młode, bez wyrobionych przekonań, w latach, w których dusze najbardziej są wrażliwe i podatne do przyjęcia myśli i uczuć budzonych przez otoczenie. Odosobnienie w oddziele, to zamknięcie „w sferze“ wyciśnie na niejednej duszy niezatarte piętno różnic społecznych, wywoła niezdrowe w życiu spółcześnem niemożliwe nawet do utrzymania, pojęcie kastowości. Celem zakładu opartego na podstawie wiary chrześciańskiej, powinno być przecież budzenie w duszach młodocianych szacunku dla każdego człowieka, jeśli na szacunek ten zasługuje, bez względu jaką rangę społeczną dał mu odziedziczony majątek lub urodzenie. Mimo wszystkie argumenty, jakieby się dały na obronę tego systemu przytoczyć, to zasklepianie dusz młodych w pojęciu „kasty“, jest słabą stroną programu wychowawczego w zakładzie Kuźnickim.

„Bóg przeznaczył każdego do potrójnej pracy, umysłowej, duchowej i ręcznej. Potrójna ta praca także w życiu kobiety musi mieć miejsce“.

W krótkich tych słowach jest objęty prosty, a jednak wzniosły system wychowawczy, który obejmuje całokształt życia ludzkiego, czyni z kobiety dzielną jednostkę społeczną i uzbraja ją przeciw możliwym przeciwnościom losu. Z radością stwierdzam, że wychowanie zakładowe najzupełniej odpowiada szczytnemu programowi. Strona

życia praktyczna, gospodarska, niezbędna dla biedniejszych, potrzebna a zaniedbywana zazwyczaj w rodzinach zamożniejszych, jest surowo, nawet pedantycznie przestrzeganą. Zapoznajmy się z rozkładem godzin codziennego dnia w Zakładzie kuźnickim.

O godz. 6 rano rozlega się dzwonek, hasło do wstawania. Do godziny 7 czas przeznaczony jest na ubranie, czyszczenie rzeczy, posłanie łóżka. Charakterystyczną cechą Zakładu jest nietrzymanie służących. Każda uczenica musi sama sobie usłużyć, utrzymać porządek w szafach i na półkach, każda po kolei podaje do stołu, zmywa naczynie. Robią one to chętnie, są zadowolone i pogodne, biorąc przykład z góry. Kierowniczki Zakładu, nie wyłączając pań Zamoyskich, spełniają bowiem te same obowiązki tak, że rzadko któ-

Zadziwi może kogo wielka liczba „godzin milczenia“ — jest ona konieczną ze względu na wielką liczbę uczenic. Gdyby milczenia nie było, czas schodziłby na zabawie, rozmowie, cała uwaga pochłonięta by była drobiazgami, w Zakładzie zapanowałby nieład i nieporządek — o pracy mowy być nie mogło. Milczenie sprowadza pewne skupienie, zniewala do uwagi i pilności, niezbędnej przy pracy. I chociaż ono na razie jest przykre i uczenice na początku pobytu w Zakładzie nieraz je przełamują, to jednak z czasem przyzwyczają się, a to przyzwyczajenie wyrobione pracą woli, wyrabia hart i siłę.

Osobnym punktem przepisy zakładowe zabraniają zbliżania się uczenic i wyłącznych przyjaźni. Przepis ten jest podług mnie nie racjonalny. Niepodobna bowiem żyć ze wszystkimi w jednakowej



(Z ostatniej powodzi). WYLEW W BRZEGACH.

rej z uczenic przychodzi na myśl, że praca, której od niej żądają, jest za cieżką, lub, że to lub owo zajęcie „jej nie odpowiada“. Dewiza Jenerałowej, że „obowiązki najpospolitsze spełniać należy w myśli najwyższej“, staje się powoli ich dewizą.

Od godz. 7 odprawia się nabożeństwo w miejscowej kaplicy, do tej chwili przestrzegane bywa milczenie. Około 8-mej śniadanie, o 9 rano dzwonek, uczenice rozchodzą się do zajęć i zapanowuje milczenie do 12 godz. O tej porze obiad, potem przechadzka, o 3-ej znów milczenie i praca. O godzinie 6 zajęcia skończone, czas przeznaczony na czytanie, kolację, ogólną rozmowę; — o godz. 9 dzwonek wzywa na spoczynek. Przed rozejściem się jedna z pań zakładowych odczytuje przeznaczony na dany dzień ustęp z Pisma św., tłomacząc jego znaczenie i stosując do życia codziennego.

zażyłości, niepodobna, aby jedna z uczenic nie zbudzała większego zaufania i sympatji od pozostałych. Praktycznie biorąc, przepis ten jest nieuzasadniony i niemożliwy do przeprowadzenia. Panienki zawierają i tak swoje „przyjaźnie“, a wobec bezwzględnego zakazu, czynią to pokryjomu, przyzwyczajają się więc poniekąd do fałszu i obłudy.

Zajęcia gospodarcze w Kuźnicach obejmują: kuchnię, piekarnię, mleczarnię, pralnię, lampiarnię, dalej naukę prasowania i szycia. Uczenice przechodzą po kolei wszystkie te działy, każde zajęcie trwa conajmniej miesiąc (w kuchni i szwalni pracuje się trzy miesiące). Z wyjątkiem jednostek wyjątkowo nieuzdolnionych lub leniwych, panienki po przejściu chociażby jednorocznego kursu gospodarczego, nabierają w tym zakresie wiele wiadomości i wprawy.

Sądzę jednak, że gospodarstwo kuźnickie urządzone jest za wystawnie i za kosztownie. Wszystkich ulepszeń i maszyn w domu prywatnym mieć nie można, nie wszystkie też wiadomości zdobyte w przeciętnej normie średnio zamożnego domu spożytkować się dadzą. W każdym razie wynosi się znajomość wszystkich rodzajów prac, wie się czego można wymagać — wreszcie uczy się szanować pracę.

Warunki dla pracy umysłowej przedstawiają się bardzo pomyślnie. W samym zakładzie jest bogaty księgozbiór, złożony przedewszystkiem z dzieł naukowych, z szczególnem uwzględnieniem historji i literatury ojczystej, pozatem obowiązuje słuchanie wykładów historji i matematyki; obowiązują lekcje rysunku technicznego, a na żądanie można także kształcić się w językach obcych. Wogóle biorąc, pokarmu dla umysłu nie brak — a dla duszy? Dusza kształci się samem życiem — kształci ją tłomaczenie pisma św., kształcą pogadanki i rekolekcje — owo kilkudniowe oderwanie się od życia, odosobnienie, które zniewala umysł młody do skupienia, głębszego zastanowienia się nad życiem dotychczasowem i nad przyszłością. Bardziej jeszcze niż to wszystko — kształci żywy przykład życia pełnego zaparcia się i poświęcenia, jaki dają kierowniczki zakładu, panie Zamoyskie.

* * *

Na tle życia jednostajnego i spokojnego w pracy i rygorze, wszelkie chwile nie objęte trybem zwykłym, występują silnie i jaskrawo i ryją się w dusze niezatartym śladem. Pamiętam święto Bożego Narodzenia spędzone w zakładzie. Nastrój poważny, uroczysty.

Zabłysła pierwsza gwiazda. Siadany do wigilji. Zgromadzone wszystkie oddziały. Święto! Święto! Nadchodzi Jenerałowa. Łamanie się opłatkiem — dobre szczere słowa płyną. A potem Jenerałowa prowadzi do siebie.

Drzewko lśni w złocie i ogniu świec. Jenerałowa rozdaje każdej uczenicy pamiątkę.

Oto budzą się wspomnienia słodkiego dzieciństwa, na pamięć przychodzi dom rodzinny i płyną łzy.

Całą resztę wieczora spędzamy razem. Atmosfera pogodna, raz w raz srebrny śmiech się rozlega. Za oknem noc. Noc jasna, śnieżna, i huczy wiatr — halny wiatr. Huczy — lecz nie smętnie, nie jękiem, zda się, że brzmi w nim nuta życia, radości.

Północ bije.

Z tysiąca piersi płynie ku mam radosna zwycięska pieśń na cześć Boga, co przyszedł lud swój zbawić. Lud okoliczny coraz tłumniej się schodzi. Pusty wielki korytarz prowadzący do kaplicy, zaludnia się. Idziemy na Pasterkę. Dzwonek... Nagle cisza, zda się że na tę chwilę i wiatr zamilkł, że tętno ziemi ustało.

Komunja Święta.

Srebrny dzwonek drży, czysty dźwięk pada: „Chodźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście“.

Dzwonek drży...

Patrzę na schylone kornie głowy, na przedziwną noc, która kładzie na nie mistyczne jakieś światła.

Dzwonek drży... obiecując ciszę w Panu i spokój.

I oto padam na kolana i słyszę już tylko jakichś anielskich dzwonów bicie... raj się przedemną otwiera.

O pierwsze uniesienie dziecięcej wiary gorącej!

KRONIKA.

Przeciwnicy Dr. Chramca poczynają popadać w śmieszność. Nie wystarczyły wiece, ataki „Nowin“, „Przeglądu Zakopiańskiego“, Słowa Polskiego“, ale obecnie zorganizowało się towarzystwo anti-chramcowe w ponurym Petersburgu. Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe i „Gazeta Narodowa“ donosi, że do redakcji pisma tego nadeszła odezwa z Petersburga, opatrzona kilku, zresztą zupełnie nieznanymi podpisami tamtejszych Polaków, w której podpisani równie gwałtownie jak ordynarnie występują przeciw wójtowi Zakopanego i jego zgubnej działalności. Nie znając treści tego dokumentu nie możemy z nim zaznajomić naszych czytelników.

Wieczór Kościuszkowski urządzony w ubiegłą niedzielę w Hotelu Turystów staraniem tutejszego Sokoła, wypadł niezwykle podniośle. Słowo wstępne wypowiedział p. Beck, na dalszą część programu złożyły się deklamacje patrjotyczne i produkcje fortepianowe. P. Raymont, znany powieściopisarz, oddeklamował wiersz patryotycznej treści.

Po wyczerpaniu programu odbyła się wieczornica sokołów i rodzin ich, która przeciągnęła się do późnej pory.

Zawieszenie wydawnictwa. „Przegląd Zakopiański“ oficyalny organ „Związku Przyjaciół Zakopanego“ przestał wychodzić. Tygodnik ten w pierwszych latach swego istnienia służył dobrze sprawie naszego uzdrowiska i bronił skutecznie jego interesów, wkrótce jednak stał się organem partyjnym kliki „opozycyjnych - malkotentów“, uwikłał się w spory prywatne i przestał odpowiadać istotnym potrzebom miejscowym. Przegląd zdepopularyzował się ostatecznie znanym a głośnym udziałem w walce Dr. Janiszewskiego przeciw Dr. Chramcowi. Ostatnio podpisywał Przegląd p. Małek jako

redaktor odpowiedzialny, a p. Bronisław Dobek jako redaktor kierujący. Gdy zawiodły usiłowania, aby w wegetujące anemiczne pismo wlać nowego ducha, wydawcy zawiesili Przegląd z dniem 26 września, nagle, bez żadnych poprzednich zapowiedzi. Przegląd wychodził prawie 5 lat i wydał ogółem 217 numerów.

P. Bronisław Dobek udał się do Lwowa z zamiarem znalezienia funduszu na wskrzeszenie wydawnictwa, w formie miesięcznika. Niewiadomo czy usiłowania te uwieńczy skutek i jaki kierunek nada nowa redakcya mającemu powstać miesięcznikowi. W interesie Zakopanego życzyćby sobie należało, aby zwróciła z drogi po której ostatnio kroczył Przegląd, a która zakończyła się wprowadzeniem pewnego zamętu w stosunki zakopiańskie i uśmierceniem zasłużonego dawniej i dobrze prowadzonego Tygodnika.

Przy Przeglądzie była kuźnia wszystkich tych korespondencyi, które pomieszczone w bezkrytycznej prasie wydymały drobne zatargi miejscowe do olbrzymich faktów, fałszywie informowały opinię publiczną, a w Zakopanem stwarzały atmosferę swarliwą, podsycając fałszywe ambicye i nieuzasadnione pretensye.

Zima w Zakopanem. Mieliśmy tu przez tydzień ubiegły zimę „na próbę“, zaczynaliśmy już jeździć sankami. Przez niedzielę i poniedziałek niebo zakryło się ciężkimi chmurami, temperatura znacznie spadła, a regle nabrały jakiejś ponurej ciemno-granatowej barwy. We wtorek rano zabłysło cudowne słońce, a przez otwarte okna wpłynęło świeże, mroźne powietrze. Gałęzie smereków okryły się ciężarem białego puszystego śniegu, trawniki i pola ośnieżone — wspaniała zupełna zima. Śnieg ten, dzięki mroźnej temperaturze, która nocami dosięgała do 4 stopni zimna, utrzymał się przez kilka dni. Ale słońce zrobiło swoje. Najpierw poczęły się czernić drogi i ścieżki, potem zrzuciły z siebie ciężar śniegu lesiste regle, aż wreszcie urok zimy znikł i znów mamy dziś mglisty dzień jesienny, deszcz prószy na pożółkłe trawy i zbladło słońce. Nie trapimy się jednak. Zmiany pogody w Zakopanem rychłe są i niespodziewane. Już może jutro zaświeci słońce, wiatr w kilka godzin osuszy drogi, i pójdziemy na „małe wycieczki“ cieszyć się jasnym błękitem i przypatrywać niedostępnym w porze obecnej górom.

Projekt nowego statutu dla gminy Zakopane odesłany został do Wydziału krajowego dla bliższego rozpatrzenia.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Czas upływał; minęła północ, Aribertowi, zdenerwowanemu oddziaływająco drażniąco, a panującą zwykle w pokoju chorych atmosferą, nasuwały się coraz czarniejsze myśli, coraz cięższe niepokoje. Zaczął tworzyć pełne grozy przypuszczenia. Jak smutny rzeczy wezmą obrót, jeśli Eugeniusz nie powstanie więcej z łóżka?! Jak zdoła śmierć synowca wytłómaczyć poddanym w Rüdesheim i cesarzowi w Berlinie? Jak siebie usprawiedliwić potrafi? Roiło mu się w myśli, że go obwiniają o morderstwo Eugeniusza, skazują na hańbiącą karę szubienicy... jego, z panującego rodu! Oburzające bezprawie, niewidziane od wieku przeszło w Europie!

Spojrzał znowu na twarz chorego i zdało mu się, iż każdy rys nosił już piętno śmierci! Gotów był wybuchnąć płaczem. Drgnął nagle; usłyszał hałas jakiś... to zegar miejski wydzwaniał północ. Nie; dochodził go jeszcze szmer inny, jakby lekkie drzwi skrobanie. Nadstawił ucha... ucichło wszystko. Ciekawość, czy przeczucie ciągnęło go ku drzwiom; otworzył je po chwili, która mu się wielkiem wydała, a serce biło mu w piersiach, jak młotem. Na dywaniku przed progiem leżała Nella zemdlona. Chwycił ją w objęcia, podniósł i posadził w fotelu przed kominkiem. W tej minucie zapomniał zupełnie o Eugeniuszu.

— Co ci jest, mój aniele?... — szepnął, składając dwukrotny na jej twarzy pocałunek. Wpatrywał się w nią z uwielbieniem, nie wiedząc, jak ratować zemdloną.

Po kilku minutach westchnęła głęboko i podniosła powieki.

— Gdzie jestem? — pytała jakby nieprzytomna, drżącym głosem. — Ah! — zawołała poznając go — to pan? Czy popełniłam jaką niedorzeczność? Straciłam panowanie nad sobą?

— Co się stało? Czy pani chora? — dowiadywał się z niepokojem.

Klęczał u jej nóg i ściskał ją serdecznie za rękę. Widziałam przy mem łóżku Juliana — mówiła przyciszonym głosem — jestem pewna, że go widziałam; śmiał się ze mnie szyderczo. Szczęściem nie zdjęłam ubrania; zerwałam się przestraszona, on zniknął gdzieś, a ja zbiegłam ze schodów... do pana.

— Może to senne przewidzenia? — uspokajał młodą dziewczynę Aribert.

— Czyż spałam?

— Prawdopodobnie. Nie słyszałem najlżejszego szmeru; nikt nie wchodził do domu. Jeśli sobie pani życzy, obudzę twego ojca.

— Może istotnie przyśniło mi się wszystko — przyznawała. — Co za szaleństwo!

— Byłaś pani znużona, wyczerpana — dowodził, ciągle trzymając jej dłoń w swej ręce. Patrzyli sobie w oczy; ona uśmiechnęła się do niego.

— Pocałowałeś mnie pan — rzekła nagle. Zerwał się z kolan i stał przed nią zaczerwieniony po uszy. — Dlaczegoś mnie pan pocałował?

— Ah! panno Racksole — szepnął, zmieszany — wybacz! Zapomnienie niegodne z mej strony, ale daruj! Uczucie wzięło górę nad rozsądkiem. Nie wiedziałem sam, co robię.

— Dlaczego całowałeś mnie pan? — pytała uparcie.

— Dlatego, Nello, że cię kocham! a wyznać tego nie mam prawa.

— Dlaczego pan nie masz prawa wyznać uczuć swoich?

— Bo jeśli umrze Eugeniusz, moim obowiązkiem poświęcić te uczucia dla dobra księstwa Rüdesheim; będę zmuszony objąć nad niem rządy.

— Ależ — rzekła spokojnie, z pełną wdzięku ufnością — papa posiada więcej, niżeli cztery miliony funtów szterlingów. Nie zechciałbyś pan abdykować?

— Ah! zawołał, tłumiąc z trudnością głośny objaw żalu — zmuszasz mnie aby wypowiedzieć gorzką prawdę! Nie wolno mi zapominać o moich obowiązkach względem Rüdesheim, a panującemu księciu Rüdesheim nie wolno poślubiać, jak tylko córkę książęcego rodu.

— Książę Eugeniusz żyć będzie — oświadczyła Nella stanowczo. — Gdy on zasiędzie na tronie...

— Wówczas ja będą wolny! Aby nazwać cię moją, zrzeknę się wszelkich praw i prerogatyw, jeżeli...

— Jeżeli co?

— Jeżeli raczysz przyjąć mnie za męża.

— Nello!... zawołał z wymówką i pochylił się nad młodą dziewczyną.

W tej chwili usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. Aribert otworzył okno i przy migotliwem świetle gwiazd ujrzał drabinę, stojącą pod szczytową ścianą domu. Dochodził go odgłos kroków czyichś w ogrodzie.

— To był Julian rzeczywiście — rzekł do Nelli i pobiegł na strych bezzwłocznie. Zastał pokój panny Spencer pusty; właścicielka jego zniknęła bez śladu.

XIX.

Dwór książęcy w hotelu Babilon.

Apartamenta dworskie hotelu Babilon znane są w całym świecie ze wspaniałego urządzenia swego; przewyższają je może wyszukanym zbytkiem niektóre pałace w Niemczech, zwłaszcza przeładowane kosztownościami salony pałaców nieszczęśliwego Ludwika Bawarskiego, nigdzie jednak nie znajdziesz większego komfortu, połączonego z elegancją. Apartament składa się z sześciu pokojów; przedpokój, salon audencjonalny, sala jadalna, sala żółta, gdzie panujący przyjmują poufnych przyjaciół, biblioteka i sypialnia, znana już czytelnikom naszym. Najokazalsza i najbardziej imponująca jest sala audyencjonalna, pięćdziesiąt stóp długa, czterdzieści szeroka, z zachwycającym widokiem na Tamizę, słynną wieżę londyńską i szlag drogi żelaznej Południowo-Zachodniej. Dekoracje salonu są w stylu niemieckim, gdyż na sześć ukoronowanych głów, goszczących w hotelu, cztery bywa zwykle teutońskiego pochodzenia; największą ozdobę sali stanowi plafon francuskiego mistrza Fragonard'a, przeniesiony tutaj z jednego z najwspanialszych pałaców nad Loarą. Ściany, drzewem dębowem wykładane, pokryte ośm stóp wysoko draperjami z kosztownej materji. Dywan jednolity, zaścielający podłogę, delikatny wyrób turecki, kupiony za bezcen przez Feliksa Babilon od któregoś z prawdziwych książąt rumuńskich. Srebrne kandelabry, zaopatrzone obecnie w światło elektryczne, sprowadzone z nad Renu, a każden z nich ma swoją oddzielną kronikę. Fotel panującego — etykieta nie dozwala nazywać go tronem, lubo dorównywa tronowi rozmiarami i okazałością — był zabrany przez Napoleona I-go w jednem z miast Austryi i kupiony przez Feliksa Babilona na licytacji u antykwarjusza w Paryżu. W czterech rogach sali stoją olbrzymie wazony z fajansu niemieckiego szesnastego stulecia. To dar, ofiarowany Feliksowi Babilon przez Wilhelna I-go cesarza w Londynie przed wojną z Francją. Salę audencjonalną jeden tylko zdobi obraz: portret szlachetnego choć nieszczęśliwego dom Pedra, cesarza brazylijskiego, podarowany przez niego samego Feiiksowi Babilon; wisi samotnie, jakby na przypomnienie książętom i królom, jak znikome są wielkości tego świata, jak pod brzemieniem zawistnego losu upadają państwa i ich władcy. Pewien książę, bawiący w tych apartamentach podczas jubileuszu r. 1887, w epoce, gdy hotel Babilon dawał schronienie sześciu osobom królewskiego rodu, posłał do Feliksa Babilon z żądaniem, aby portret był usunięty. Feliks Bablilon, przy zachowaniu wszystkich form należnego uszanowania, odmówił stanowczo i książę przeniósł się do innego hotelu, gdzie mu skradziono kosztowności za parę tysięcy funtów szterlingów. Salon audencjonalny hotelu Babilon, gdyby oglądać go wolno, stanowiłby jedną z największych ciekawości Londynu, turyści jednak nie bywają tu dopuszczani, a gdy pytają o mieszczące się w nim osobliwości, służba zbywa ich szczegółami podrzędnego znaczenia, jak to, że trzepanie dywanu tureckiego pociąga za sobą koszt pięćdziesięciu funtów szterlingów, lub że piedestał jednego z olbrzymich wazonów pęknięty wskutek nieostrożności czterech księżniczek i króla któregoś z państw bałkańskich, grających tam raz w ciuciu babkę.

W zagłębieniu okna wspaniałego apartamentu pewnego popołudnia lipcowego stał Aribert książę von Rüdesheim, ubrany w tużurek, strój konwencyonalny, używany przez świat cywilizowany angielski, z gardenią w dziurce od guzika. Był w dobrym humorze i zdawał się czekać na kogoś, bo od czasu do czasu spoglądał ku drzwiom, umieszczonym za fotelem królewskim. Wreszcie wszedł mały, chudy, zgarbiony staruszek, istnie germańskiego typu, i położył zwit papierów na stole, obok fotelu,

— A! Hans, stary druhu! pragnę pomówić z tobą. Jakżeś znalazł jego wysokość księcia Eugeniusza?

— Nie bardzo dobrze, z pozwoleniem waszej wysokości — odparł przybyły, salutując po wojskowemu. — Służę u naszego księcia od chwili jego pełnoletności, a poprzednio służyłem u nieboszczyka ojca panującego księcia, nigdy jednak nie widziałem...

Urwał i machnął ręką z niezadowoleniem.

— Czego nie widziałeś? — pytał Aribert, uśmiechając się życzliwie do starego sługi.

Można było zauważyć, że tych dwóch ludzi, stanowiskiem tak dalekich od siebie, łączy stosunek przyjaznej zażyłości.

— Słyszał książę zapewne — rzekł staruszek — że mamy przyjąć finansistę Samsona Levi, jak go zowią, i to przyjąć w sali audjencjonalnej. Ośmielę się zrobić uwagę, że dopuszczenie tego człowieka do biblioteki byłoby już wielkim dla niego zaszczytem.

— Sądzić tak można rzeczywiście — odparł Aribert — twego pana jednak skłaniają prawdopodobnie w tym razie ważne jakieś powody. Powiedz mi — dodał książę, zmieniając nagle temat rozmowy — jak się to stało, że mego synowca pozostawiłeś w Ostendzie, a sam powróciłeś do Rüdesheim?

— Otrzymałem taki rozkaz od samego księcia — i stary Hans, obeznany z fantazjami władców, znający tajemnice połowy dworów europejskich, zrobił znak, jakby mówił: „tajne do spełnienia zlecenie“.

— Miałeś z nim połączyć się tutaj?

— Tak jest; stawiłem się w oznaczonym terminie, lecz, co prawda zaczynałem się obawiać, że już nigdy nie zobaczę pana mego.

— Książę zapadł ciężko na zdrowiu w Ostendzie.

— Tak mi mówiono — odparł Hans krótko, prawą ręką kręcąc palce lewej dłoni. — Jego wysokość nie odzyskał jeszcze sił swoich.

— Była chwila, w której zwątpiliśmy o życiu mego synowca; dzięki tylko krzepkiemu organizmowi przetrzymał ciężką chorobę.

— Musimy być o niego bardzo troskliwi — zauważył stary sługa.

— Niewątpliwie — przytwierdził Aribert z powagą — drogocennem jest jego życie dla poddanych państwa Rüdesheim.

(C. d. n.).

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8-ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	16/10	17/10	18/10	19/10	20/10	21/10	22/10
Termom. such.	13·2	11·9	6·6	3·2	—3·4	+0·1	5·0
„ wilg.	12·9	11·7	6·1	2·4	—3·3	—0·2	1·6
Ozon	12	14	12	11	14	13	13
Term. maxim.	38·9	22·8	20·6	24·2	13·9	35·2	35·8
„ minim.	14·5	15·5	11·2	12·6	10·7	10.4	7·2
Term. na bar. .	15·3	14·8	11·2	7·3	1·9	5·0	8·1
Barometr . . .	695·6	690·4	688·5	691·5	696·4	695·4	694·0
Kierun. i szyb. wiatru . . .	SSW 4	NNW2	EEN 1	SSE 8	EES 4	EEN 2	SSE 2
Stop. zachmurz.	7 mgl.	7 kłęb	5 kłęb.	10 kłb.	10 mgl.	0	3 kłęb.
Wysok. opadu	0·2	—	—	—	—	0	0
Uwagi	deszcz	deszcz	0	śnieg	śnieg	pogod.	pogod.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego: . . {o 9 min. 2 rano / o 11 min. 40 wieczór.

Przychodzą do Zakopanego: . . {o 7 min. 5 rano. / o 3 min. 30 po poł.

Odchodzą z Zakopanego do Krakowa: . . {o 10 min. 20 rano / o 4 min. 35 po poł.

Przychodzą do Krakowa: . . {o 4 min. 40 po poł. / o 11 min. 5 wieczór.

Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów: . . o 10 min. 20 rano.

Przych. do Lwowa: . . o 2 min. 31 po poł.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.